

Dlaczego biedni przegrywają w sądach?

15 marca 2020

Mija właśnie 45 lat od publikacji klasycznego tekstu Marca Galanter'a o podobnym tytule w „Law and Society Review”, jak i ponad dwa lata od fali protestów przeciwko deformie sądów Prawa i Sprawiedliwości. Deforma PiS nie rozwiązała istotnych dla obywateli problemów, przez które społeczeństwo od lat było wymiarem sprawiedliwości zawiedzione. Nie przyczyniła się do zmniejszenia przewlekłości postępowań, a na termin rozprawy nadal czeka się nieraz półtora roku. Deforma sądownictwa nie ograniczyła też obłożenia sędziów gigantyczną liczbą spraw do rozpatrzenia, która wynosi 4,5 sprawy dziennie, wliczając weekendy. Deforma nie sprawiła także, że język prawniczy stał się zrozumiały dla zwykłych ludzi, a sędziowie bardziej uprzejmi. Wreszcie, deforma nie sprawiła, że biedni przestali przegrywać w sądach, jak pisał kilkadziesiąt lat temu Marc Galanter.

Ale jak to, biedni przegrywają w sądach? Na całym świecie – według opublikowanego kilka miesięcy temu głośnego raportu organizacji The Task Force on Justice – aż 250 milionów ludzi żyje w warunkach całkowitego bezprawia. Mowa tu o ludziach, którzy są współczesnymi niewolnikami czy ofiarami konfliktów zbrojnych. Ponadto, aż dwie trzecie ludzi żyjących na całej planecie jest pozbawiona praktycznej możliwości realizacji praw, które przysługują im w teorii. To by oznaczało, że biedni nie tyle przegrywają w sądach; biedni przegrywają zanim przekroczą próg sądu.

Ile z tych osób mieszka w Polsce? Trudno w to uwierzyć, ale jeszcze rok temu osobom w kryzysie bezdomności nie pozwalano głosować w wyborach, bo w formularzu zgłoszeniowym do rejestru wyborców trzeba było koniecznie podać adres zamieszkania. Jakby bycie obywatelem tego kraju z nadanym numerem PESEL to

było za mało. Inny przykład: choć Trybunał Konstytucyjny orzekł ponad dziesięć lat temu, że eksmisja na ulicę powinna być zakazana, to jeszcze tej doby odbędą się statystycznie trzy takie eksmisje. W Polsce możliwe jest nawet wydanie wyroku eksmisyjnego zaocznego, a więc wydanego bez wysłuchania osoby, która za chwilę straci dom. Myślę więc, że można założyć, że globalne problemy wykazane w raporcie The Task Force on Justice również i Polski nie ominęły.

Kiedy protestowałam i ja przeciwko deformie sądownictwa według PiS, nie widziałam znajomych twarzy z protestów lokatorskich, czy pikiet pracowniczych. Być może się nie odnaleźliśmy w tłumie. Ale rozmowy ze znajomymi zdają się potwierdzać, że po prostu ich tam nie było. I jestem w stanie to zrozumieć. Bo jak można bronić sądów, które przez ostatnie 30 lat uznawały, że podwyżki czynszów o kilkaset procent dokonywane z dnia na dzień w zreprivatyzowanych kamienicach są ok? Jak bronić sądów, które ustanawiały kuratorów dla stuletnich właścicieli nieruchomości? Skąd czerpać sympatię do sędziego, który na sali rozpraw używa skomplikowanych prawniczych fraz, zamiast zapytać prosto z mostu, czego Pan się od sądu domagasz?

Aby wnieść sprawę cywilną do sądu trzeba mieć po pierwsze pieniądze – choćby na opłatę sądową, a po drugie trzeba mieć wiedzę – wiedzę, że w ogóle taką sprawę można założyć i wiedzę jak to skutecznie zrobić. Poza tym trzeba mieć też czas, umiejętności i zdrowie. Postępowanie cywilne, na przykład o zapłatę zaległych rachunków czy o eksmisję, jest co do zasady kontradyktoryjne. Kontradyktoryjność oznacza, że sąd raczej biernie przygląda się stronom, które aktywnie toczą między sobą spór, samodzielnie przedstawiając na poparcie swoich tez argumenty i dowody. I co do zasady te strony są sobie równe. Tylko jak mówić o równości stron, kiedy jedną ze stron stać na porządnego adwokata z renomowanej kancelarii, a drugiej strony po prostu nie stać na żadnego? Jak mówić o równości stron, skoro dla jednej wynik sprawy to być albo nie być jego i jego dzieci, zaś dla drugiej zysk albo brak zysku?

Biedny może wprowadzić poprosić sąd o adwokata czy radcę prawnego z urzędu. I choć teoretycznie nie powinno to robić różnicy, to w praktyce jest tak, że inaczej pracuje prawnik, któremu zapłacono za sprawę kilka tysięcy, a inaczej prawnik, który za tzw. urzędówkę prowadzoną czasem przez kilka lat może dostać kilkadziesiąt złotych.

Biedny może także pójść do jednego z ponad 1500 punktów bezpłatnej pomocy prawnej, utworzonych ustawą z 2015 roku. Ale jeszcze do niedawna biedny mógł tam pójść tylko wtedy, gdy spełniał restrykcyjne wymagania. Z opinii krytycznych wobec tego systemu autorstwa Najwyższej Izby Kontroli i Rzecznika Praw Obywatelskich wynikało, że szanse na poradę prawną w danym punkcie pomocy prawnej miała tylko 1/3 Polek i Polaków, z czego jedynie 3% faktycznie z niej skorzystało. Pomoc prawna była zresztą bardzo ograniczona i nie obejmowała doradztwa przy pisaniu pism procesowych już w trakcie postępowania sądowego. Tymczasem to właśnie wsparcie przy sporządzaniu pism okazywało się najczęstszą potrzebą. Od 2019 roku przepisy się zmieniły i obecnie każda osoba, która złoży oświadczenie, że nie stać jej na płatną poradę, może skorzystać z pomocy punktu. Teoretycznie. Na razie jednak za wcześnie mówić o efektach.

To wszystko oznacza, że konstytucyjna zasada równości wobec prawa od lat rozpada się na kawałki w zderzeniu z nierównościami społecznymi. Zaś koszt nierówności i braku dostępu do wymiaru sprawiedliwości ponosi całe społeczeństwo. Okazuje się bowiem, że zapewnienie powszechnego dostępu do wymiaru sprawiedliwości pozwoliłoby zaoszczędzić globalnej gospodarce miliony dolarów rocznie – według The Task Force on Justice w niektórych krajach nawet do 3 procent PKB. A więc jeśli rządzących nie przekonuje bycie praworządnym tak po prostu, to może chociaż dla oszczędności budżetowych warto by było.

Autorstwo: Beata Siemieniako

Źródło: [Fakty.biz](https://fakty.biz)